Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 20. Poznań, dnia 18. Maja. 1840.

Literatura zagraniczna.

Europa im Jahre 1840 von Wolfgang Menzel.

Epoka, w któréj żyjemy, ważną jest przedewszystkiém dla tego, że się w niéj duch czasu do nowéj formy wyrabia, co się może w niezbyt odległéj przyszłości pojawi. Różnorodne żywioły stanu społecznego w chaotycznym natłoku prą się o siebie; interesa moralne i materyalne w nieładzie się naciskają, z największym pośpiechem zdążając jakby na teatr gotującego się widowiska. Za minionych czasów wojna była wojną, pokój pokojem; za dni naszych jest ciągła bójka, choć na pozór zamknięte bramy Janusa. A jeżeli gdzie tam na jednym krańcu Europy, czy na drugim, krew się leje, to jednak wśród szczęku oręża dosłyszysz, z pod kłębów działowego dymu dostrzeżesz osobnego jeszcze boju, boju, co wszystkich umysły ogarnął, boju zasad, pryncypiów. Taki stan rzeczy, który historycy krytycznym nazywają, wywołać musiał politykę, napiętnowaną tą samą cechą wojenną. Mocarstwa na zewnątrz i na wewnątrz na ciągłéj mają się straży; porozstawiane na wsze strony jawne i ukryte czaty; minują się, fortyfikują w opinii, zdobywają ją, to wstępnym krokiem, to zasadzką; wielkim gościńcem druku robią pochody od jednéj części ziemi do drugiéj. Tęż samą cechę wojennych obrotów nosi na sobie dzisiejsza literatura polityczna. — Książka autora dziejów Niemieckich*), którąśmy na wstępie przytoczyli, będąc odpowiedzią na dzieło bezimiennego pisarza o Pentarchii Europejskiéj, ma głównie na celu dokładniéj pojąć i oznaczyć stósunek wielkich mocarstw do siebie; zwiedzić niejako ich obozy, rozpoznać siły, stanowiska, odgadnąć plany, zamachy. Nie do zakresu pisma naszego należy wchodzić w ten rodzaj badań. Rozważymy tylko to, co w niém jest historycznego i filozoficznego.

Autor trafnie pojął myśl, że nie ludy, nie rządy, ale całkiém inne, bo duchowe potęgi, są mocarstwami świata. Tę myśl pochwycił i rozebrał, do niéj rzecz o państwach Europy zastósował, i w niedługiéj osnowie, przedmiot jasno i do przekonania wyłożył. Oto jego dowodzenie: »Mówiąc o potęgach Europejskich, rozumiemy zwykle domy panujące lub rządy. Atoli są jeszcze inne właściwsze potęgi, które tamtym dopiero nadają początek i znaczenie; albo też zagrażają im szwankiem i upadkiem. Nieraz one tak silnym w Europie powiały orkanem, że się cała w posadach wstrzęsła; że kraje i dynastye kilkowieczne obalone wywrotem legły, i nowe jakby z namieci ukazały się interesa, nowe jakby z lawiny urosły państwa. Do tych potęg liczy się narodowość, wiara, polityczna zasada i materyalny interes. Powaga dynastyi i rządów dopiero na nich się opiera, i z niemi połączona tworzy istotną pentarchią Europejską. Potęga intelligencyi i nauk jest podrzędną, i już dla tego jako osobna dziejowa silnia uważaną być nie może, że będąc już cząstką sławy narodowéj, już idąc w pomoc rozwijaniu się zasad religii i wolności, już wreszcie służąc materyalnym korzyściom, w każdéj z poprzednich jest zawartą.«

»Potęga narodowości jest najdawniejszą. Od czasu, jak się ludy za gminoruchów, od wschodu ku zachodowi ruszyły, i rozsiedliły na stałe mieszkania, Europa przybrała geograficzny podział krajów według narodowych znamion. Co do istoty trwa on do dziś dnia, pomimo że Europa przez blisko półtora tysiąca lat wielorakich doznała wstrząśnień, i w kolei dziejów różne po jéj krajobrazie ponakreślano granice. Chociaż ówdzie jeden naród na wielu rozebrano panów, to swoich, to obcych; indziéj różne plemiona pod jedno dostały się berło; to jednak właściwy każdego

*) Menzel dziełem r. 1827. wyszłém Geschichte der Deutschen, 3 Bände, a późniéj historyą literatury niemieckiéj zwrócił na siebie uwagę uczonéj Europy. On jeden z Niemców przeciw Goethemu powstawał, i ztąd urosł długi spór literacki, toczący się najprzód w piśmie Europäische Blätter, a późniéj w piśmie czasowém das Litteraturblatt. Ta jego niesłuszna nienawiść Götego, a późniéj jego postępowanie względem szkoły młodych Niemiec przyczyniło się wiele do tego, iż szacunku powszechnego zjednać sobie nie mógł i nie może.

ludu charakter się nie zmienił; zachował język, zwyczaje i narodowy popęd, który nieraz świeże i olbrzymie w nim siły wywołał. Wszelkie przeciwnarodowe wpływy, wszelkie wciskanie się cudzoziemczyzny, rozbijały się zawsze o niezłomną potęgę narodowości. Narzucona ludowi rodowitemu obcość nie przyjęła się nigdy w jego łonie, jak ciało obce odpierała, wyrzucała ją zawsze żywotnia siła narodowa. Tak we Włoszech naturalne usposobienia starorzymskie nie pozwoliły wcisnąć się niemczyznie; przeciwnie zaalpejskie żywioły w Niemczech odepchnęła reformacya. Do téj to silni, tak potężnéj, jak naród cały, uciekały się zawsze dynastye i rządy, ilekroć im przyszło albo własną ugruntować władzę, albo obcą odeprzeć przemoc. Napoleon robiąc Francyą wielkim narodem (la grande nation), rozwinięciem sił jéj narodowych spotężniał; ale i na odwrót tą samą potęgą wywołaną u innych połączonéj Europy narodów, pokonany został. Ludy nawet długo uciemiężone i słabe przechowują niezatarte narodowości swojéj uczucie, w niéj się ostatecznie ich koncentruje życie. Przyjazne okoliczności nieraz je rozniecą, i zatli się nowym bytem, choć niekiedy nie długotrwałym. Narodowością podsilana przetrwała Grecya kilka wieków muzułmańskiego ujarzmienia, i doczekała się politycznéj udzielności.«

»Z kolei wieku potęga wiary drugie zajmuje miejsce. Przemożna zapałem i wyższém natchnieniem częstokroć narodowości targa spójnią, lud jednego szczepu na nieprzyjacielskie hufce rozrywa; nowe w nim granice, nowe państwa wydziela; mocarstwa i dynastye wywraca, i na ich ruinach inne wznosi. Zakłócenia o inwestyturę zadały pierwszy śmiertelny cios cesarstwu niemieckiemu, a późniejsze wojny religijne nowe do niepodległości wywołały państwa: Sabaudyą, Szwajcaryą, Hollandyą. — Po wytężeniu religijnego zapału nastąpił indifferentyzm. Uczucie wiary jak morze wzbiera i opada, ale nie wysycha nigdy. Wypadki dni naszych przekonać nas powinny, że wiara, na pozór uśpiona zbudzić się może, i okazać Europie siłę równie potężną, jak siłę narodowości.«

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Marzenie po balu.

Tak huczno, wesoło mazura tańczyli,
Tak wszystko się śmiało w koło mnie!
Ja sobie myślilem: — ona śni w téj chwili,
Niestety! i może nie o mnie. —

Tak strojne dziewice, tak ładne, mówili,
Jam przecież niepatrzył w ich lice,
Bo ona tam śpiąca piękniejsza w téj chwili,
Niż wszystkie balowe dziewice.

Ja sobie myślilem: — o! może, o! może,
Tam sen jéj przypomni i o mnie,
I w tęskném marzeniu westchnąlem, »o! Boże,
A tutaj tak tańczą w koło mnie!«

Szaleństwo tak tańczyć! na Boga was proszę,
Bo ze snów ją miłych zbudzicie, —
Daremnie, — wam obce są senne roskosze,
Wy nawet i we śnie tańczycie!

Wam wino, wam taniec jest wszystkim na świecie,
Jak jéj sen, — a dla mnie marzenie, —
A przecież o! ludzie wy dobrze to wiecie,
Jak smutne po szale zbudzenie.

Gdy szaleć, to w szale na zawsze utonąć,
Nie tylko na krótką tam chwilę;
Gdy kochać, to ogniem wulkanów zaplonąć,
Nieprzestać aż w zimnéj mogile.

I smutno mi było samemu w tym tłoku,
Bo kocham płomiennie anioła;
I łezka z pod serca zawisła na oku,
I tęskność wybladła mi z czoła.

Patrzyłem — a smutki tańczyły mi w głowie,
Łza w wina kieliszek płynęła;
I w duszy mówiłem: — ja piję twe zdrowie!
Tyś może w téj chwili westchnęła! . . . . .

26. Lutego 1840. r. *Edmund Wasilewski.*

Henrykowi G. w Imionniku.

Puszcza świata w uczucia niekłamane skąpa,
Jako puszcza Arabii w krople czystéj wody.
Po niéj człowiek jak pielgrzym w piasków morzu stąpa,
Próżno spieczonym wargom szukając ochłody.

Młody pielgrzymie spojrzyj, okiem niedojrzany
Obszar przed tobą leży nieczuły i głuchy;
Ogorzałe oblicza twojéj karawany
Ciągną milcząc w kraj spiekły, jak zaklęte duchy.

W téj wędrówce pragnienie białą pierś ci spali,
Cera miedzi powlecze twe rumiane lica,
A kiedy słabe nerwy opium ci rozszali,
Będziesz sądził, że prorok twą duszę zachwyca.

Bądź zdrów, młody pielgrzymie, wyprzedzić cię muszę.
Może cię talizmanem na drogę obdarzyć?
Jedwabny, złotem szyty, pierś ci będzie parzyć:
Rzuć go — cierpienia życia i tak zbawią duszę.

A. Szukiewicz.

Niezwykła kara.

Opowiadanie przyjaciela.

(Dokończenie.)

»Nie będę opisywał wszystkich szczegółów mego pobytu u chłopa; dość, że mnie przyjął, jak tylko mógł najgościnniéj, ofiarował mi swoją pierzynę i na jakie tylko jego chudoba mogła się zdobyć, takie mi robił wygody. Rozmawiałem z nim o tém i o owém; domyślał się, w jakiém znajduję się położeniu; gdy się dowiedział, że jestem z za Warszawy: „pomiarkowałem,“ rzekł, „żeście ślepy Mazur po waszéj mowie; powinniście tu u nas po rusku gadać, żebyście się nie wydali, bo są tu między nami różne łotry.“ — „Jakto? czy i między chłopami mieliby się tacy znajdować?“ — „Wszędzie, jak to mówią sroka pstra; jużto najwięcéj między taj psiąwiarą żydostwem, ale prawdę mówiąc, strzeż się zdrajcy i między chłopami, ba! między panami nawet!“ — To mnie spowodowało do wypytania się o pana téj wioski; dowiedziałem się od niego, że jest dla swych poddanych nielitościwy, że nadzwyczajny kartownik, gdyż raz do officerów garnizonujących w powiatowém miasteczku przegrał w karty ośmdziesiąt dusz poddanych. — „A znacie tu panów jakich w pobliżu, którymbym mógł zupełnie zaufać, którzyby mnie chętnie przyjęli i u którychbym pewne znalazł schronienie, gdyż tu u was dłużéj bawić niemogę, jak do jutra rana; ze świtem muszę tę wieś opuścić, boby mnie wasz pan, gdyby się dowiedział, może ze wsi wypędzić kazał.“ — Zamyślił się chłop, nareszcie rzekł: „Jużto pan Milczewski, możny pan, ale okrutnie skąpy, a pan Rydzewski dość ludzki, ale wielki tchórz, a pan Tybicki dzielny młodak, ale jeszcze niema własnego państwa; pewnie to najlepiéj będzie do naszych poczciwych pań w Borużach; to już lepszego państwa niema, jak pani Sawicka z córkami,“ — i jął opowiadać dobre uczynki pań Sawickich.

Nazajutrz równo z świtem napiwszy się żuru, zabraliśmy się w drogę. „Ale, ale!“ rzekł mój towarzysz, „żem go też przepomniał! mieszka tu o dwie ruskie mile od nas poczciwy ale ubożuchny szlachcic P., do tegobyśmy mogli iść.“ — „Nie, przyjacielu, idźmy do pani Sawickiéj! pomyślałem sobie, jak to poczciwi wszędzie za takich są znani; wspomniany P. był ten sam, od którego jechałem.

Przyszedłszy do wsi, gdzie pani Sawicka mieszkała, pożegnał mnie chłop, a ja, serdecznie mu dziękując, ścisnąłem go za rękę i wsuwałem dukata; natychmiast rękę wyrwał — „Ja żadnéj niechcę zapłaty, schowaj to sobie, panisko, masz jeszcze daleko do domu, ja jestem w domu i z głodu nieumrę, ale pan będziesz miał pewno potrzebę, napotkasz ludzi, którzy ci nic bez pieniędzy nie dadzą.“ — Uściskałem go, prosiłem, żeby przyjął, ale żadnym sposobem niechciał; nareszcie żądałem, żeby choć tyle dla méj przyjaźni przyjął, ile żonę będzie kapłon kosztował, potrzebny do czynszu, i przyjął nakoniec cztery złote. Byłem tą prostą, otwartą bezinteressownością chłopa rozrzewniony, pomyślałem sobie: niewierzą w nią na wielkim świecie i nieuwierzą mi, chociaż będę ludziom mojéj kasty powiadał; w ich mniemaniu chłop jest pozbawiony wszelkiéj szlachetności duszy, oni go mają za bydlę, gdyż jest ich interesem, ażeby niém był. Wśród tego przypomniałem sobie własne wczorajsze dumanie, i ja również o bydlęcą obojętność chłopów posądzałem, i to jeszcze doznawszy od szlachcica najniegodziwszego przyjęcia; ale Bóg mnie w własném nieszczęściu widocznym znakiem chciał oświecić; odtąd żadnego już nie będę miał uprzedzenia względem chłopów.

Przyszło mi na myśl, że wstępuję znów w progi szlacheckie; ochędożyłem suknie z pierza, zaczesałem włosy, bo wiedziałem, że do lepszego przyjęcia powierzchowność niezmiernie się przyczynia, a tu jeszcze wdowa i dwie córki. Schowawszy więc brudny kołnierzyk od koszuli, wszedłem do przedpokoju, kazałem się służącemu zameldować; wyszła mnie przyjąć pani Sawicka, osoba czterdziestokilkoletnia, z skromném ułożeniem, z przyjemnym i słodkim wyrazem twarzy. Oświadczyłem jéj wręcz, kto jestem; śledziłem w jéj rysach jakie moje oświadczenie sprawi wrażenie; lekki rumieniec okrył pożółkłe matrony lica, ale żaden grymas nieukontentowania niezmarszczył jéj rysów. Wynurzyła mi chęć dopomożenia w mojém smutném położeniu; powiedziala to szczerze, bez wymuszenia; odtąd powziąłem do niéj zaufanie. Niebawem ukazały się razem z przyniesioném śniadaniem obie jéj córki. Młodsza miała może lat siedemnaście, starsza dwadzieścia jeden lub dwa; młodsza była ładna, ale nic nie było można dostrzedz, coby ją odróżniało od tysiąca młodych dziewczyn gładkich i rumianych. Starsza nie miała już na licach, że tak powiem, puchu młodocianego, jéj lica nie były kraśne żywym rumieńcem, nie były to pączki centifolii, ale blade, jak liście białéj rozkwitłéj róży, zaledwie lekka różowa cień oznaczała siedlisko rumieńca, policzki nie okrągłe, po bokach zapadłe, przeciągłe; od oczu jéj rysowały się linie długie, regularne, jakby żłobki do łez, a około ust już się wyraźniéj oznaczały; usta średniéj wielkości koralowe tém żywiéj odbijały od bladéj twarzy, tém ponętniejsze, do całunku wabiące; nos delikatnie zbudowany, czoło otwarte, pod niém w chudych skroniach osadzone błękitne oczy, ale

takich nigdy przedtém ani potém nie widziałem. Niebieskie oczy mają wprawdzie dla mnie większy urok od czarnych; w jéj oczach prawdziwe niebo zdawało się odbijać. Jakże ci je opiszę? Nie były małe i nie były zbyt wielkie, nie świeciły powierzchownym blaskiem, ale głęboki jakiś żarzył się w nich ogień; były smętne, ale nie ponure, nie były ruchawe, żywe, ale były bardzo myślące, rozumne; nie były zaczepne, przenikliwe, lecz gdy ich spojrzenie padło na ciebie, czułeś się przygniecony ich władzą, zwyciężonym, przykutym do nich; słowem — rozkochanym. Nie spuszczając z niéj oka takim się niestety uczułem. Średniego była wzrostu nie nadto delikatna, słabowita, wiotka, jednakże kibić miała kształtną, wciętą, wysmukłą, podstawę wspaniałą, ruchy szlachetne, nóżki małe, zgrabne, polotne, jak u sarneczki. Młodszéj imie Felicya, a starszéj Rozalia. W ciągu kilku godzin ciągłéj rozmowy nabraliśmy względem siebie takiego wzajemnego zaufania, jak gdybyśmy od kilku lat się znali; to samo z matką i drugą córką. Opowiadałem im wszystkie moje przygody; nareszcie i wczorajszą ze wszystkiemi szczegółami, bynajmniéj nie ochraniając pana N., tylko go w prawdziwém malując świetle; wtém — nagle spójrzę na Rózię, twarz jéj cała w ogniu płonie, spojrzę na matkę, i na téjże twarzy widoczne pomięszanie; pomiarkowałem się po niewczasie, że może dotknąłem drażliwéj strony, zapewne bliski krewny, cioteczny brat lub coś podobnego; nigdy mi na myśl nie przyszło, żeby to nie miał być krewny, tylko .... Chciałem natychmiast opowiadanie uciąć, gdyż zmyślać na korzyść pana N. było mi niepodobno; lecz panna Rozalia z przyciskiem do mnie rzekła: »Niech pan wszystko co do joty nam opowie! jesteśmy bardzo ciekawe, jak się pan nareszcie z panem N. rozstałeś?“ — Coraz większe pomięszanie na twarzy matki dostrzegałem, Rózia trochę ochłonęła; gdym nakoniec powiedział, że służącemu kazał za drzwi mnie wyrzucić, skoczyła na środek pokoju i zawołała: „Nikczemnik!“ — „Ale bo też może niewiedział lub niedowierzał, kto pan jesteś,“ rzekła szybko matka, „teraz się różni trafiają!“ — „Nie, pani, miałem list od kuzyna pana N. z Lidzkiego polecający mnie, i list ten dałem panu N. do przeczytania; przejrzawszy go z lekka, odrzucił mi go w twarz, — otóż jest,“ i położyłem list na stole. — „Ach, to Tybickiego ręka!“ zawołała panna Felicya, i znów przyszła na nią koléj zarumienienia się, nie już z wstydu, ale z ukrywanéj radości. — „Tybicki jest szlachetny młodzieniec!“ rzekłem, starając się dobrém wspomnieniem złe zatrzeć; lecz mi się już nieudało zepsutego humoru naprawić. Rózia wyszła; matka była powarzona, milcząca; najłaskawsza na mnie panna Felicya zapewne za pochwałę Tybickiego przysiadła się do mnie i rozmawialiśmy z sobą aż do obiadu. Panna Rozalia późno do stołu przyszła; dostrzegłem w jéj oczach czerwoność, a pod oczami sine poduszeczki nabrzmiałe, były to ślady płaczu. Unikałem rozmowy jakikolwiek związek z dawniejszą mającéj; rozmawiałem o modach, o Paryżu, o Francyi, o czém chcesz, jedynie tylko, aby zetrzeć przykre wrażenie ciążące na nas trojgu od chwili mego opowiadania; lecz napróżno, przeminął obiad bez najmniejszéj zmiany w humorach; wyczerpałem wszystkie moje koncepta, na które matka i córka półgębkiem się uśmiechały; Felicya zaś szczerze się żegotała; znając mnie wiesz, że mogę być wesołym w najprzykrzejszém położeniu. Oczerniwszy kuzynka myślałem sobie, iż już zadanéj obrazy niczém nie spłuczę; draźniło mnie to tém bardziéj, że ten mniemany kuzynek musiał być bardzo Rózi miłym; zazdrościłem niewartowi; z powodu tego postanowiłem, te panie jak najprędzéj opuścić.

Po obiedzie przy kawie ponure panowało milczenie; wśród niego posłyszeliśmy brzęk, dzę, dzę, dzę, zbliżający się coraz bardziéj, nareszcie huk z charapa, jak z pistoletu, i potem cicho. Wszyscy do okien; kobiety krzyknęły: „ah!“ podniosły ręce do góry, spojrzały na mnie; niewiedziałem, co się święci, ale myślę sobie, jakieś dla mnie znów licho. — Mężczyzna wyskoczył w szubie z sanek do dworu. Spojrzałem na twarz panny Rozalii, była biała jak karraryjski marmur, w oczach powiększone źrenice, usta zacięte, w postawie jakaś bojaźń i niepewność. Wtém słychać w przedpokoju kroki męskie. Rozalia jakby raptem się zdecydowała rzuciła się ku drzwiom; w téj saméj chwili wchodził wysoki, przystojny mężczyzna, w którego osobie poznałem pana N. Spotkali się z Rózią w progu twarz w twarz; na jéj widok przymilił oczy pan N., chciał się zdobyć na jakiś komplement, — ukłonił się; chce coś zacząć mówić; Rózia mu przerywa, nie wpuszczając go daléj: „Od czasu, jak ja i moja matka dowiedziałyśmy się, że pan nie umiesz szanować obcego nieszczęścia, ani praw gościnności w swym domu, i rodaka szukającego przytułku za drzwi wyrzucać każesz; odtąd nie zbliżaj się do mnie i uważaj wszelkie między nami stósunki za zupełnie zerwane!“ To mówiąc zdjęła Rózia z konwulsyjnym pośpiechem obrączkę zaręczynną z palca i oddawała mu ją. On jéj niechciał przyjąć: „Ale zmiłuj się pani jakieś oszczerstwo!“ wybełkotał pan N. — „Nie, nie oszczerstwo, nie hańb się pan na próżno kłamstwem! Jeżeli oszczerstwo, to niech pan zajrzy śmiało w oczy oskarzycielowi!“ i odstępując od drzwi wskazała na mnie. Byłem dotąd piecem

zakryty przed jego wzrokiem; postąpił na środek pokoju, lecz gdy mnie zoczył, cofnął się a potem stanął; nasze oczy się spotkały; moje obdarzone przenikliwością bazyliska lub hyeny wnet otrzymały zwycięztwo, chwiał się jak trzcina, zczerwieniał caly od ucha do ucha jak piwonia; największe pomięszanie nie dało mu się zdobyć na słów kilka do mnie. — Spojrzał na stół; a tam leżał otwarty list od Tybickiego polecający mnie jemu; obrócił się nareszcie do matki: „Pani mnie zapewne nie potępiasz!“ — „Pan się sam potępiłeś, i upraszać go muszę, ażebyś nas więcéj nie odwiedzał!“ — Z gwałtownym gestem zdjął z palca obrączkę, rzucił na stół, wyszedł i odjechał.

Ach, jakże piękna Rózia była po odbytéj scenie, z któréj zwycięzką wyszła. Nie kochała nigdy pana N., ale ponieważ miała lat dwadzieścia dwa, ponieważ jéj matka niezwyciężony wstręt i obawę starego panieństwa wpoiła, ponieważ pan N. był przystojny, umiał się przy niéj ułożyć i najmilszego człowieka przybierał postać, jak wąż się przy niéj uwijał, jak kot się miżdżył, ponieważ mu publiczność więcéj nic nie zarzucała, jak tylko, że był kartownikiem, ponieważ panna Rozalia tuszyła sobie, że gdy będzie jéj mężem, ona swym wpływem oderwie go od szulerstwa i poprawi, ponieważ sobie matka tego życzyła, gdyż posiadał odpowiedni majątek posagowi panny Rozalii, przedto przyjęła oświadczenie pana N. i była z nim zaręczoną; te wszystkie zaś uzasadnione przyczyny i powody ja jednym zamachem zniweczyłem. Nie pochodziło to jednakowo z jakowéj sympatyi Rózi względem mnie, lecz li tylko z szlachetnego oburzenia przeciwko podłości. Bawiłem tam jeszcze tydzień; pobyt ten krótki stał się, balsamem moich cierpień, nadgrodą nieba za jakie takie poświęcenie się; najpiękniejszym epizodem mego życia, rozkoszną oazą w stepie méj pielgrzymki. Przy odjeździe dopiero poznałem, że byłem prawdziwie kochany. Twardemi okolicznościami ciągle potem poniewierany strawiłem gwałtowny żal, tęsknotę po Rózi; dziś tylko smutne wspomnienie mi zostało. — Nieśmiałem przerwać długiego milczenia i głębokiego zasępienia się mego przyjaciela i nic więcéj się nie dowiedziałem.

W. A. W.

O rzeczywistém istnieniu myśli.

(Dalszy ciąg.)

Litera jest głosu, pismo mowy, zewnętrzną dla oka figurą. Myśl wynalazcza potrafiła i tym zmysłem do ducha się odesłać. Mowa gestów, mowa kwiatów, są mowy dla oka, jak mowa pisana. Takby człowiek mógł mieć mowę dla smaku, dla czucia, dla węchu, gdyby zmysły te na taką wielość i dokładność wrażeń były wystawione, co wzrok. W piśmie myśl po raz pierwszy czepi się, przywięzuje do zewnętrznych mniéj więcéj dowolnych znaków, i przez kalligrafią robi przejście do sztuk pięknych. Zewnętrzna postać znaku myśli — pismo — ma być odpowiednia wzniosłości takiego przeznaczenia. Jak znaczenie jest duchowe, tak i w zewnętrznéj tego znaczenia postawie ma się przebijać duchowy charakter. Ta duchowość saméj zewnętrzności jest **pięknem**, którego przeto ideały myśl w sobie nosi. Piękno więc w zewnętrznych formach się objawia, ale te formy muszą być oraz wyrazem, dźwignią myśli. To, co się w sztukach pięknych podoba, jest właśnie ta jedność myśli i kształtu, zgodna duchowość treści i formy.

W sztukach pięknych myśl objawia się twórczą ducha na materyał potęgą. Jak Bóg w nieskończoności tworów, na każdym myśl swoją wycisnął, tak myśl człowiecza wtłacza się, przelewa w materyał. Naśladując Twórcę, naśladować musi naturę w form jéj doskonałościach; doskonałości formy domagać się tylko myśl może dla doskonałości treści. Jedno wymaga koniecznie drugiego, i z téj to wymocy wypłynęły sztuki piękne. Doskonałość treści jest tam, gdzie jest najdoskonalszy pojaw ducha, to jest w człowieku, lub wyższéj od niego istocie. Co do doskonalszych od siebie istót, mógł sobie w nich człowiek wyobrazić wyższość ducha, bo ta tylko była potęgowaniem jego własnych duchowych przymiotów, ale nie umiał dla nich wyobrazić wyższéj, innéj od siebie formy; swoją więc własną im nadał, w objawionych sporadycznie po rzeczywistości doskonałościach, które mu myśl w jedni nastręczała, jako ideał formy, onéj treści odpowiedniéj. Tak przeto w malarstwie jak snycerstwie, głównią sztuki, będzie zawsze postać człowiecza, w któréj się boskość, wyższość istoty ludzkiéj przebija. Najpiękniejsze krajowice, lub obrazy szkoły niderlandzkiéj z powszedniego życia zdjęte, równie jak najtrafniéj według natury wyrobione orły Raucha *), dla tego, że w nich nie odbija się wyższa myśl duchowa, nie będą ideałami sztuki. Myśl **piękna** nie może być powszednia, ale uszlachetniona, wzniosła. Wyraz zatém potęgi ducha, wysokiego natchnienia, religijnego uczucia, wielkich cierpień, alboli błogiego uszczęśliwienia, piętnuje się przedewszystkiém w arcydziełach sztuki. Ten zachwyt, którym sztukmistrz materyał martwy ożywia, musi jego własną duszę napeł-

---

*) Żyjący genialny snycerz w Berlinie, którego dziełem jest wyborny posąg królowéj Ludwiki w Mauzoleum w Szarlottenburgu; upodobał sobie szczególnie w orłach, których wizerunkami nowe Muzeum w Berlinie nastrzępił.

niać, kierować dłutem jego czy pędzlem, i tak się w marmur lub farbę przelewać. Kto się patrzał np. na Magdalenę Kanowy, albo na Madonnę Sixtyńską Rafaela, nie pojmie, aby z pod ręki człowieka samą jego techniczną zręcznością, wyszło na pojaw takie życie, taka myśl boska. Za nim człowiek poznał własną duchową wielkość, ograniczał dzieła sztuki na postaciowaniu wyższych istót. Sztuki piękne z nieba na ziemię zstąpiły. Do religii odnosi się ich wzrost i początek. Samo pismo przez hieroglify się poczęło, a nawet już po wynalezieniu charakterów i druku, użyto ich naprzód do ułożenia ksiąg świętych. Kwiecista mitologia Greków wydoskonaliła snycerstwo. Bożkowie, były to ideały młodzieńczéj ich wyobraźni, doskonałości ducha w doskonałościach ciała. Nie o ciało już chodziło chrześciańskiemu światu, i z niepostaciowéj głębokości protestanckiego ducha żadna nie mogła rozwinąć się sztuka. Tylko w katolickim kościele, w którym obok głębokiego duchowego pojęcia Boga poświetla zarazem zewnętrzny blask Jego majestatu, wykształcić się musiała malarstwo, świetny, promieniący przybór farb, ku wyrażeniu myśli. Poddawało tu ideały, owo uświęcenie człowieka na ziemi przez Boga, a potem podniesienie go do wiekuistéj chwały w niebiesiech. Klassyczny też peryod malarstwa odnosi się do najświetniejszych czasów kościoła, kiedy naturalne, nie sztuczne było natchnienie, kiedy wiara i sztuka była jednią nierozerwaną.

W odwrotni snycerstwa i malarstwa, (z którego odłania się pismo czyli rysunek) stoją architektura, muzyka i taniec. Powstały i one z religijnéj czci bóstwa. Człowiek uczuł się słabym, gdy nagość i skazitelność swoją z innemi potęgami natury porównał, szukał ochrony i opieki dla siebie u istoty wyższéj, i dla tego chciał ją mieć blisko siebie: zbudował więc Bogu, godne Jego wielkości mieszkanie; a nie umiejąc go czcić samą myślą, czcił uczuciem wylewającém się w śpiew, muzykę i ruchy ciała. Dzieła sztuk pięknych tego rodzaju mają treść duchową nie w sobie, jak poprzednio, ale zewnątrz siebie; są dla niéj przeznaczone. Ale i to przeznaczenie jeszcze jest tak silne piętno myśli, że i jemu muszą być odpowiednie zewnętrzne formy. Piękno zatém i tu na połączeniu i zgodności myśli i postaci zależeć musi. Zewnętrzna strona p i ę k n a jest pewna zgodność stósunkowa rozmiarów, przyjemnie to w słuch, to w oko wpadająca, czyli symetrya, harmonia i takt; podstawy sztuki budowniczéj, muzycznéj i tańca. Każda stósunkowość jest liczebna, liczba zatém jest tu niewidomą materyału władnią. Z porównania liczebnych zasad rozmiarów architektonicznych i generałbasu, musiałaby się wykryć pewna zgodność, wykazująca granice, wśród których liczba wcielona w ciało stałe lub polotne — w budowlę lub harmonią — przyjemne przez odpowiednie zmysły sprawia w nas wrażenie. Stósunek rozmiarowy kolumn doryckiego, jońskiego i korynckiego porządku, był zapewne ten sam, co i muzyczny u tych narodów; bo tak ściste jest powinowactwo architektury i muzyki. Harmonia, to jest zgodność tonów w połączeniu powierzchném, jest to samo, co symetrya rozmiarów budowli, uchwycona w profilu; przyjemne na słuch i na oko wrażenie bez obudzenia myśli. Melodya jako całość z następstwa tonów posobnych z jednego głównego tonu płynąca, jest symetrya przestrzenna całéj budowli, gdzie także panuje jeden główny wszystkich składów stósunek (styl). W téj całości dzieła architektoniczne i muzyczne już oddziaływają na myśl; wrażenia ich nie tylko są powierzchne, ale i głębokie zarazem. I tu pokazuje się druga główna strona p i ę k n a, strona idealna, — cel, przeznaczenie sztuki. Musi ono być i tu wzniosłe, wielkie, i dzieło sztuki tym przymiotom odpowiednie. Dla tego to do istotnéj architektury i muzyki policzają się naprzód dzieła Bóstwu poświęcone, świątynie i kościoły; hymny i muzyki kościelne. Nie poznawali Grecy i Rzymianie Boga w Jego wielkości, w Jego ogromie, dla tego bożkom swoim ciasne stawiali świątynie, jedynie zewnętrzną ozdobą przeznaczeniu swemu odpowiadające. Żydzi wierzyli w jednego, potężnego Boga, ale go wyłącznie mieli dla siebie; i dla tego opasali przybytek Pański, trzema obszernemi podwórzami, i powstała rozległość zabudowania, ale nie ogrom kościoła Jerozolimskiego. Sam dopiero lud chrześciański, co Boga pojmował w niezmierzoności przymiotów, wystawiał mu kościoły obszerne, wieżami sięgające niebios, stolicy Jego; niekiedy, jak u kościołów Florenckich, zamierzone na plan tak olbrzymi, że wieki je budowały, i wykończyć nie mogły. Tak wyobrażenia religijne musiały wpływać i wyciskać się na architektury dziełach, bo ta sama myśl pojmowała Boga, co mu stawiała świątynie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy
przez J. Kraszewskiego. Tom I. i II.
Wilno, u Glüksberga 1840.
(Dokończenie.)

Po tém charakterystyczném opisaniu szlachty sernickiéj, następuje między innemi jenialny artykuł: Pińsk i Polesie pińskie. Artykuł ten, wydrukowany początkowo w Tygod.

Petersb., przedrukowało tyle pism, iż sądzimy, że już dokładnie znany naszym czytelnikom zkąd inąd. — Przejdziemy więc do artykułu o stanie włościan, który nas nie z jednéj przyczyny zajął.

Stan dawny włościan w prowincyach rusko-litewskich, wymównie odmalowany znajdziemy, gdy mowa o buntach ukraińskich w Grodzkim w Lewandowskiego wojnie domowéj a nawet w Beauplanie trochę. Autor dzieła o reformacyi obyczajów polskich, tak o uciemiężeniu wielkiém włościan na Rusi pisze: »Z przodków naszych poczynione były na sejmach statuta, aby poddani tak duchownych jako i świeckich panów nie rabiali jedno dzień w tydzień. I któryby pan uczynił gwałt poddanéj, albo wszystkie poddane o klątwę za swój uczynek przyprawił, tedy od tego pana wszystka wieś wystać mogła a do inszego pana się przeprowadzić. Zkąd się pokazuje, że to od R. P. zależy, abyśmy nie jako niewolnikom poddanym naszym rozkazywali, ale jako pomocnikom robót naszych; przetoż wielka tego jest potrzeba, aby Rzeczpospolita w to wejrzała przykładem inszych narodów, aby panowie poddanych swoich, jak się im podoba, nie zabijali, nie łupili z majętności ich co mają, ani im gruntów, które sobie naprawią, nie odejmowali, ani też gwałtownie robociznami obciążali jako bydło nieme, ale się z nimi jako ludźmi po ludzku obchodzili.«

Pan Kraszewski przechodzi w dalszém opowiadaniu na bunt Chmielnickiego, któremu, jak słusznie uważa, niesłychany ucisk na Rusi chłopów od panów bardzo wiele dopomógł. I czyż można się dziwić, że nieszczęśliwy chłop — widząc raz sposobność zemszczenia się na tym, który go dręczył, jak go nikt na świecie nie dręczył — pochwycił myśl, aby wymordować swych tyranów? Krew przelana nie padnie na tych, którzy ją przelali, ale na tych, którzy swym uciskiem bunt ten wywołali.

P. Kraszewski przytacza tylko kilka nadużyć. Wspomina tylko o daninach, czynszach, które niepodobne się stały do zniesienia; pomija tyle innych, przy których wspomnieniu serce drętwieje. Sądzimy, że nie mógł więcéj powiedzieć. Pomijamy więc nasze uwagi dziś, tém bardziéj, iż w téj rzeczy obszerniéj kiedyś pomówić zamyślamy, i przytaczamy tylko to, co o teraźniejszym stanie włościan p. Kraszewski wspomina:

»Takie nadużycia jak na Litwie i w Polesiu wołyńskiém trwały, a niektóre trwają jeszcze, oprócz bowiem zwykléj trzydniowéj pańszczyzny, oprócz mnóstwa daremszczyzn do wyrobienia lnu, konopi, ogrodów, do bielenia i czyszczenia budowni i t. d., daniny grzybów, jagód, miodu, chmielu, orzechów, nawet osypy żyta i owsa (którym początek w Inflantach Hilsen dość nieprawdopodobny przypisuje) pobierają czynsze pieniężne.

Jestże podobna, aby na małym kawałku pola siedząc, wydołał temu wszystkiemu wieśniak i pobogacił. A dodajmy uwagę, że dziedzice wcale się jeszcze nie ograniczają starym zwyczajem, lecz bezkarnie nadużywają, wymagając darmo transportów i różnych usług. Zaiste sprawiedliwość być powinna wszędzie, i nie wiem jak pogodzić oświatę, o którą się staramy, ze zdzierstwem nieludzkiém — widném prawie wszędzie. Mianowicie niepodobna się nieoburzać na tych, którzy najmują swoich ludzi żydom do transportów wodą lub dalekich robót, nic im za to nie strącając, rzadko nawet opłacając za to podatki. Powtarzam: kto czyta po francuzku, gra w wista, lubi literaturę i myśli, że na tém dosyć, aby zyskać imie ucywilizowanego człowieka — człowieka dobrze wychowanego, dobrego tonu i towarzystwa — ten nie rozumie, co to jest cywilizacya, co to jest ten progress, który ciągle mając na ustach sądzi, że on przyjdzie sam bez żadnych ofiar.

Przywiązanie wzajemne u wieśniaków macierzyńskie, małżeńskie, najlepiéj się wydaje w nieszczęściu. Posłuchaj, gdy kogo biorą w rekruty! Co za płacz, jaka rozpacz, jakie jęki. Najdziwniéj, że w tych uroczystych chwilach żałoby, kobiety zamiast mówić i płakać, ciągle płaczliwie śpiewają, jakby mimo woli. Idąc za wozem biednego wygnańca ocierają łzy, i jednostajnie smutnym śpiewem prowadzą go do miasteczka. Wejrzawszy głębiéj w przyczyny łez i żalu, ujrzysz w nim zapewne powody materyalne; lecz czegoż więcéj żądać można od tak nieoświeconego, od tak biednego ludu? Oni żeniąc się na nic nie patrzą, tylko żeby przyszła ich była dobrą gospodynią i z zamożnéj chaty; a czy flaszka wódki będzie związana czerwoną wstążeczką czy nie, to nie wiele ich obchodzi. Chłop poleski najczęściéj starym zwyczajem przed panem na twarz upada, wita go Sława Bohu albo Pomahaj Boh. Milczący jest ale uprzejmy dla obcych, zaczepiony chętnie gawędzi, gdy tylko o panach i biedzie mowa. O biedzie swojéj dzień i noc by gadał.«

O usposobieniu umysłowém wieśniaków poleskich tak mówi p. Kraszewski: »Prosty rozum tych ludzi wcale nie jest do pogardzenia, niekiedy pozorném głupstwem ukrywa się przebiegłość niepospolita. Rzadko tańcują, częściéj śpiewają. Taniec ich pospolity jest rodzajem walca, w którym jedną tylko ręką obejmując tancerkę, para za parą w kółko krąży. Śpiewy ich częściéj smutne — czasem są aż nadto wesołe i bezwstydne. Ale jakaż w nich poezya! Jakie proste a mocne wyrażenia z głębi duszy! znać, iż je z serca wyrwały, wesele lub smutek, że je śpiewali, nie pisali, rodzili, nie komponowali.«

Kończący tom artykuł »na Wołyń« i »Międzyrzecz korecki Olyka« są prawdziwie z tą lekkością w opowiadaniu i dramatycznem wystawieniem rzeczy, jaka jemu właściwa, skreślone.

Drugi tom tego ze wszech miar ważnego dzieła, które niemożemy dość polecić czytelnikom naszym, zawiera Łuck, historya tego miasta, Wołyń i Ostróg. Z artykułu »Wołyń« przytaczamy tu jeszcze następujący wyjątek o życiu na Wołyniu:

»Wołyń i był i dzisiaj jest jeszcze, krajem panów i możnych; teraz dopiero, ogromne ich dobra, rozdrabiające się na coraz mniejsze, dzielić się zaczynają, na drobne posiadłości szlacheckie. Tu nic pospolitszego dawniéj nie było, nad księcia, hrabiów i mających pretensye do hrabiostwa, pełno ich wszędzie, na pieczątkach same mitry i dziewięcio perłowe korony. Znaczniejsze familie tu miały gniazda swoje, swoje zamczyska, od których się zwały i obszerne dobra. Wymieniliśmy dawne księstwa Wołynia, mówiąc o dyecezyi łuckiéj. Mało tu drobnéj szlachty, wsi niewielkich i domków małych. Jaśnie oświeconych, jaśnie wielmożnych pełno wszędzie. Tytuł tém jest na Wołyniu, czém kołtun w Pińsku, rzeczą bardzo pospolitą, a czasem nie wygodną. Jadąc, widzisz wszędzie pałace, parki, modne powozy, piękne zaprzęgi, a tuż obok lud dosyć biedny i uciśniony, który tylko żyzność ziemi ratuje i to mimo wiedzy panów, o dobry byt wieśniaka, rzadko dbałemi się okazujących. Nie wiele z tego wyjątków. Obyczaje ogółu szlachty, tchną bardzo duchem zaszczepionym tu odwiecznie przez wpatrzenie się w możnych. Nikomu nie chce się być niższym od drugich, okazać się uboższym, każdy się sadzi na zbytek, na powozy, liberyą, domy z cyframi na frontonie i pieczątki z mitrami. Nie dziw też potem, gdy majątki się rozdzielają, przedają, a wielcy owi panowie bez kawałka chleba na starość zostają, z pieczątką tylko i zgryzotami; gdy widzisz puste szkielety pałaców walących się, bydło pasące się po zarosłych chwastami ogrodach, i śmierć tam, gdzie przed chwilą było zbyteczne życie. Świat tutejszy bardzo jest modny; ceni wysoko wyrocznie paryzkich żurnalów, mówi o nowéj literaturze, lubi się wesoło bawić i podróżować za granicą. Książki i tu jak w wielu innych okolicach, są po większéj części meblem w salonie, leżą nierozcięte dla proporcyi i okryte pyłem. Muszą je mieć dla przyzwoitości, bo wszyscy je mają; ale potrzebę czytania nie bardzo tu jeszcze powszechność czuje. Rozumie się, że są wyjątki, lecz nam ogół raczéj malować należy. Co się tyczy polskiéj literatury, Wołyń oddalony od Warszawy i Wilna, tych dwóch ognisk głównych, rzadko co nowego prędko dostaje, rzadko się o co stara. Ci, co umieją języki, ci mianowicie co szczebiocą po francuzku, nie zniżają się do czytania książek polskich, które jednem słowem, jednym uśmiechem potępili! Możeż być co dobrego po polsku, a nadewszystko czyż to

czytać można? czyż można w tém smakować? — Wielu wołyńskich panów ma piękne biblioteki, kosztowne obrazy, lecz kosztowniéj jeszcze powznoszone pałace, pozakładane parki, których utrzymanie tak jest uciążliwe, a piękność tylu podlega rozmaitym tłumaczeniom i krytyce. Obrzędy weselne odbywają się na Wołyniu po większéj części z przepychem i zachowaniem wszystkich dawnych ceremonij i zwyczajów; ale młodzież nie wszystka się żeni; nie tak, jak w poczciwszéj Litwie, gdzie małżeństwem dopiero dopełnia się człowiek. Nie wiem, czy wpływowi literatury XVIII. wieku, która tu miejscami jeszcze ma wielbicieli, czy romansom francuzkim XIX., czy jeszcze czemu innemu przypisać potrzeba, ten wstręt do stanu małżeńskiego. Mianowicie młodzi chcą się wprzód doskonale wyszaleć, nim na się wrzucą to, co pętami zowią. A gdy się wyszaleją i ostygną, stracą zdrowie w rozpuście i dopiero się ożenią, gdy już nic nie mają do stracenia; uważmy, jak piękne skutki takich małżeństw być muszą! rachityczne dzieci i swary w domu. Jeśli nie coś więcéj jeszcze, o czém już i mówić nie chcę. — Lecz któż przekona młodych, że najlepsze użycie świata, jest w spokojném i cnotliwém pożyciu domowém, nie w brzydkiéj choć powabnéj rozpuście. Późniejsze małżeństwa usprawiedliwiają przysłowie, że przed dwudziestą pięcią laty sam się człowiek żeni, do czterdziestu ludzie żenią, a po nich i sam djabeł nie ożeni. Otóż w tym peryodzie, gdy ludzie żenią, pospolicie tu się kleją małżeństwa, są więc zimne i wyrachowane, jak każda spekulacya, pierwszy w nich wzgląd na materyalne korzyści *vulgo* pieniądze, które dla zamalowania oczu zowią się zapewnieniem niepodległości na przyszłość, to jest zabezpieczeniem się od pracy i starania o siebie. — Ten warunek *sine qua non* naprzód się uważa, a reszta już jakoś będzie! i jakoś jest.«

Mówiąc i uskarżając się na brudne skępstwo panów, woła p. Kraszewski: »Dziś o dziś! szukaj ze świecą téj gościnności charakterystycznéj dawnych lat. Przyjeżdżasz, meldują cię, czekasz, wchodzisz, zimno witają i po suficie patrzą, konie twoje, jeśliś nocował, odsyłają do karczmy, nie turbuj się nazajutrz o koła, nikt ci ich nie pozdejmuje, chyba żyd, jeśli mu za nocleg nie zapłacisz, chyba wielki drągal kamerdyner, jeśli mu za podanie szklanki herbaty nie zostawisz kilku złotych, które pogardliwie włoży do kieszeni; nie turbuj się, nie przymuszą cię do jedzenia i picia, do zostania na dłużéj. Samolub rad tylko sam z sobą, gotów wyjechać z domu, a przynajmniéj konie zaprządz, żeby się ciebie pozbyć. U stołu przed nim Bordeaux, przed tobą stawią jakiś kwas czerwony, a potrawy dzielą według metody Damona: »Wątróbka dla mnie, a pępek dla gości.« Reszta w tym sposobie.

Spieszymy jednak powiedzieć; nie wszędzie tak jest, nie wszędzie, tylko im większy pałac, im piękniejszy park, tym pewniejszy być możesz, że to znajdziesz we środku; że pan sam stołuje się w swojéj austerji i płaci od osoby; a gościom rad, jak chorobie lub burzy. Natomiast im niżéj, tym gościnniejsza, serdeczniejsza ręka cię wita.

Lecz w zamian za dawną gościnność, jest tu do dziś dnia dochowana, XVII. wieku zabytek, Junakerja.

A wiecie co to jest Junak! Jest to figurka mała, krępa, czarna, wąsata, niegdyś kawalerzysta, żołnierz, teraz gospodarz. Pije, je, bije, łaje, poluje i nikogo się nie boi. Najpotrzebniejszém mu do życia narzędziem codziennego użytku, jest batóg, odświętném pistolety. Junak ma piękne i dobre konie, którym gotów łby postrzelać, gdyby się pod nim potknęły. Amatorstwo pięknych koni jest na Wołyniu dość pospolite, są nawet stajnie, w których berejtera anglika a źrebca turka lub araba znajdziesz. Ale koń Junaka nie jest to wielki, piękny koń rassowy, czystéj krwi, jest to kozacki biegus, żywy, zwinny, nóg pewnych, a nadewszystko ognisty. Junak zawsze trzyma kozaków. Dawniéj na Wołyniu mieli ich wszyscy, dziś tylko panowie i junacy. U pierwszych są to słudzy w kozackim stroju, w burkach, kurtach, kołpakach i szarawarach, którzy jeżdżą za powozem lub służą do posyłek; ale u junaków, kozacy stanowią jeszcze rejment choć szczupły, i mają atamana.

W jedném miejscu widzieć jeszcze można (choć nie u junaka) taki regiment zaciągający codzień wartę na noc przed jaśnie wielmożnego pana skarbcem, sypialnią. Kozacy mają zwykle sobie właściwe charakterystyczne nazwiska: Dziuba, Dżęga, Dubina, Kłos, Jahoda i t. p. Ci ludzie nawykli do biernego posłuszeństwa, na rozkaz pana, gotowi są bić, zabić, utopić, zastrzelić, słowem bez żadnego wyjątku uczynić, co rozkaże. Opisać wszystkie awantury, pełne dzikiego szaleństwa, jakich się z czeredami kozaków junacy dopuszczali i dopuszczają, ani podobna, ani potrzebna. Z westchnieniem tylko dziwić się należy, że cywilizacya, którą Wołyń w siebie wsiąka, która tylko polor mu powierzchowny daje, nie ruguje ze środka nic złego, nowe złe tylko dodając. Chociaż junacy nie są już rzeczą pospolitą, jednakże znaleść ich jeszcze można. Omijać potrzeba ich dom podparty i brudny, ich psy złośliwe, kozactwo rozpustne, ich pola, ich drogi. Biada psu, co się zagoni w ich knieje, człowiekowi, co się do lasu wkradnie. Minęły już wieki panowania siły fizycznéj, w których ona stanowiła prawo, słuszność, zastępowała sądy, i domierzała sobie sprawiedliwość, dziś, kto się dopuszcza gwałtu, dowodzi, że nie zna życia, nie rozumie teraźniejszego świata, dowodzi, że jest na stopie zwierzęcia, dzikiego jeszcze. Szczęściem codzień niepodobniejszém staje się życie junackie, chociaż młodzież radaby je wskrzesić; nie mając żadnego lepszego zatrudnienia, nad spędzanie żydów po drogach, zajęcy po polach i ściganie nieszczęśliwych włościanek, na których plecach, często pierwszy miłości pańskiéj dowód, kładnie bizun lub kij.

Doniesienia literackie.

Słowacki wydrukował nową tragedyą »Beata Cenic.« »Trudno,« pisze jeden z naszych najszanowniejszych korespondentów, »wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy tę dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość, w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwie się tytułu jednéj jego tragedyj na pamięć nauczy, to już druga wychodzi, ztąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi, utwory jego nieabsorbują mu jak innym pisarzom życia.

Szanowny Seweryn Goszczyński ma zamiar wkrótce wydać czwarty tom swoich poezyj, których trzy pierwsze, jak wiadomo, wyszły już w Lwowie.

W Warszawie u Merzbacha wychodzi Życie Napoleona z rycinami na stali; wyszedł zeszyt 2gi. Całe dzieło składać się będzie z 12 poszytów. Cena zł. 45. — Tamże wyszedł rocznik religijny Aleluja i powieść Albiny O. pod nazwą: »Miesiąc u Hrabiny.«

Z muzykaliów wyszły w litografii Deckera i Spółki w tych dniach dwa mazurki A. Woykowskiego. Cena 1 zł. p.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*